NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K. 37·40! Półrocznie K. 74·80. Rocznie K. 149·60.

Zmiana adresu 1 koronę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80 za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego l. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 3 korony.

Rok XVII. Kraków, 31 stycznia 1920. Nr. 5.

Niezłomni.



Niezłomni.

Szli do Ojczyzny po wszystkich ziemiach, wszędzie siejąc obficie wylaną krew, wszędzie szukając oręża, którymby mogli wznieść Polskę w blask słońca, wskrzesić Ją, byle żyła, jaśniała. Szli przez straszną i niewdzięczną dolę i wolę narodu, szli z otwartem czołem nieraz niezrozumieni przez własne społeczeństwo, krwią ino znacząc szlak swojej wędrówki. I wreszcie podnieśli sztandar polski w górę w braterskiej Francyi, stając pod wodzą generała Hallera. W chwili krytycznej dla Ojczyzny zleciały się te ptaki z powrotem na ziemię, już hartowni bolesnym trudem i żmudnym. Tu czekali, bo zadaniem ich było nieść wolność kresom zachodnim, jęczącym jeszcze w twardej ręce Krzyżaków. Byli błękitnymi ptakami i błękitny świt nieśli swoim braciom. Dziś idą coraz dalej i dalej, aż zatkną broń polską na polskiem pobrzeżu i tam rozstawią wedety na straży dobra swojej ziemi. Wkrótce ten błękitny żołnierz złączy się z modrymi bławatami fal morskich i zdaje się, że te fale wzniosły się wyżej, oplotły brzeg, potem krok za krokiem idą coraz dalej, spływają szklanną harmonią dźwięków po miastach i wsiach. Zakwitnął już wszędzie łan bławatów. I płyną ciągle fale tych niezłomnych, a z niemi święta pieśń i gorące umiłowanie sprawy, dla której spełnienia zdaje się od wieków szli i wieki trudów przetrwali. Idzie ciągle ten hallerski żołnierz.

Ku polskiemu morzu.

Bydgoszcz.

Miasto Bydgoszcz, Nakło i Piła leżą na granicy Wielkopolski i Pomorza, wśród pasma bagien, które pierwotnie tworzyły tę granicę. W czasach ostatnich przetwarzań ziemno-wodnych dzisiejszej Europy, wielka środkowo-europejska rzeka, której przeważną część, zajmuje dzisiejsza Wisła, płynęła nie tak jak dziś od ujścia Brdy do Bałtyku, ale dalej ku zachodowi w stronę Odry i Łaby, a po wytworzeniu przerwy na północ, na miejscu swego dawnego koryta pozostawiła te właśnie bagna.

W roku 1239 słyszymy po raz pierwszy nazwę Bydgoszczy, jako zamku, leżącego nad Brdą. O zamek ten wiodła spór Wielkopolska z Pomorzem, nawet na jakiś czas zajęli go Krzyżacy, ale w 1343 przeszedł on na stałe do Polski i stał się siedzibą kasztelana. Kazimierz Wielki w roku 1346 wydaje pozwolenie na założenie miasta u stóp zamku. Miasto wzrosło w XV i XVI wieku, ale w XVII, zwłaszcza za wojen szwedzkich, podupadło. Fryderyk II przy pierwszym rozbiorze Polski zagarnąwszy Pomorze, nie mogąc opanować Gdańska, przy całym szeregu niegodziwych środków, których używał do zgnębienia tego miasta, chcąc odciągnąć odeń wiślaną drogę wodną i zwrócić ją ku Brandenburgii, połączył już w roku 1774 Brdę od Bydgoszczy kanałem z Notecią, wychodzącym obok Nakła, a temsamem Wisłę z Wartą i Odrą. Bydgoszcz z tego to powodu i dlatego, że leży nad Brdą o półtorej mili od ujścia tej rzeki do Wisły, a w końcu jako pierwszorzędny węzeł kolejowy, ma wielkie znaczenie. Droga żelazna prowadzi stąd wzdłuż Wisły do Torunia i w głąb Mazowsza, na południe jedna przez Inowrocław, a druga przez Żnin, do Wielkopolski, ku zachodowi przez Nakło i Piłę, ku północy przez Tucholę w głąb Pomorza i przez Tczew do Gdańska i Elbląga.



Ku polskiemu morzu: KościóJezuitów i farny.

W Bydgoszczy zachowało się kilka pierwszorzędnych zabytków budownictwa.

Na Starem Mieście nad samą Brdą wznosi się kościół parafialny św. Mikołaja i Marcina, pochodzący z drugiej połowy XV wieku, odnowiony w r. 1830. Kościół ma trzy nawy, każda z nich o trzech przęsłach i presbyteryum, zakończone trzema ścianami. Sklepienia w nawach i prezbyteryum są gwiazdowe, w zakrystyi dobudowanej po lewej stronie prezbyteryum beczkowe, a w sionce przed głównem wejściem krzyżowe. Słupy przyporne, na zewnątrz kościoła, wzniesione są na rogach ścian, podobnie jak w wielu gotyckich budowlach na Pomorzu i w Wielkopolsce. Dwie szczytnice, mianowicie jedna nad głównem wejściem i druga na końcu naw, w początku prezbyteryum, mają wzór żłobkowanych laseczek, pomiędzy któremi płytkie wnęki bielone.

Na Starem Mieście wzniesiono w roku 1640 kościół Jezuitów, który dziś służy Niemcom kato l kom. Dwie kończyste wieże, wykończone w roku 1880 zupełnie są nieodpowiednie do tej barokowej budowli.

W tejże dzielnicy zbudowano w roku 1787 zbór ewangelicki.

Na starym targowym dziedzińcu wznosił się starożytny ratusz, który uległ całkowitej zagładzie. Podobnież zginął w zupełności dawny zamek, który zburzyli Szwedzi w roku 1656, którego pozostałości rozebrano w drugiej połowie XIX wieku, aby uczynić miejsce pod nowe domy.

Na Kujawskiem Przedmieściu zbudowali w roku 1480 Bernardyni kościół, zamieniony przez Prusaków na kościół załogi wojskowej. Jest to budowla o jednej nawie i prezbyteryum, z kapliczką gotycką po prawej stronie. Wieżę zbudowano w czasach nieco późniejszych niż sam kościół. Szczytnicę nad głównem wejściem, pochodzącą z XVI wieku, odtworzono w roku 1864.

Na Gdańskiem Przedmieściu wzniesiono w roku 1448 kościół i szpital św. Ducha, który w roku 1618 objęły Klaryski. Prusacy po wypędzeniu zakonnic urządzili tu strażnicę pożarną. Niezmiernie ciekawe są w kościele malowidła na płaskim drewnianym stropie, o wzorze różyczek, naśladujących roboty złotnicze. Wznosząca się od prawej strony kapliczka, ma dach zasłonięty attycką ze ślimacznicami znamiennemi dla polskiego stylu odrodzenia, odtworzoną w roku 1901. Smukła i wysoka wieża ma barokowe nakrycie.

Na temże Gdańskiem Przedmieściu zbudowali Karmelici w XV wieku kościół i klasztor, zamieniony po wygnaniu zakonów przez rząd pruski na teatr, a potem zburzony dla uczynienia miejsca pod nowy teatr. Wieżę, stojącą osobno, rozebrano w roku 1895. Była to pierwotnie wieża mostowa, podwyż-



Na około sceny: Od lewej ku prawej siedzą sekretarz i artysta dram. Józef Poremba-Jaracz, kierownik teatru Juliusz Osterwa, artystka dram. Wanda Siemaszkowa, autor Stefan Żeromski, artystka dram Wanda Osterwina, kierownik zespołu Mieczysław Limanowski, kierownik plastyki scenicznej Zbigniew Pronaszko.

szona i przerobiona na dzwonnicę w roku 1600, z dwóchspadnym dachem i dwiema barokowemi szczytnicami.

Obecnie z chwilą przyłączenia Bydgoszczy do Polski nastała nadzieja, że miasto tak szczęśliwie



Naokoło sceny: Wanda Ignatowska, artystka z teatru „Corso" w Radomiu.

położone, tworzące węzeł drogowy pomiędzy Pomorzem a głębią Polski, wspaniale się rozwinie i zrzuci z siebie sztucznie narzucone pozory niemieckości.

Ks. dr. Tadeusz Kruszyński.

Naokoło sceny.

O teatrze „Corso" w Radomiu słów kilka

Wśród teatrów prowincyonalnych Kongresówki, jedno z pierwszych miejsc zajmuje teatr „Corso" w Radomiu, a to zarówno ze względu na wysoki jego poziom artystyczny, jak też sympatye i poparcie publiczności. Teatr gra obecnie codziennie przy pełnej sali, a to chyba na prowincyi rzecz rzadka i zanotowania godna. Kierownictwo spoczywa w wytrawnych rękach dyrektora, p. Bolesława Ma-



Naokoło sceny: Henryk Kowalski, artysta teatru „Corso" w Radomiu.

reckiego, człowieka o dużej kulturze artystycznej i wielkiej rutynie. Dyr. Marecki znany jest i w kronikach teatralnych warszawskich i z wielu własnych impres prowincyonalnych. Dotąd posiada teatr w Moskwie, niestety od lat kilku wobec stosunków wojennych stracił z tą polską kulturalną placówką wszelki kontakt.

Podporami zespołu artystycznego teatru „Corso" w Radomiu są panie Ignatowska Wanda, Kraszewska Aleksandra, Marecka i Wiktorowicz, z sił męskich obok dyrektora: Kowalski, Raczyński, Chrzanowski i Święcki. P. Ignatowska Wanda, której portret zamieszczamy, przybyła do Radomia z Warszawy, gdzie pracowała na kilku scenach, ostatnio w „Argusie". Posiada ładny sopran, dużą werwę sceniczną i niezaprzeczony talent, a swą miłą i sympatyczną osóbką wnosi na deski sceniczne wiele życia, przykuwa naturalną grą uwagę widza i zmusza do oklasku. Dla teatru „Bagatela" lub Teatru Powszechnego w Krakowie byłaby bardzo pożądanym nabytkiem.



Naokoło sceny: Dyrektor Teatru „Reduta" w Warszawie artysta dramatyczny Juliusz Osterwa

Tosamo trzeba powiedzieć o p. Kowalskim Henryku, którego podobiznę także podajemy. Uczeń Szymanowskiego, Bednarczuka i Zawadzkiego, pracę na scenie rozpoczął w teatrze łódzkim, później pracował przez sześć lat z rzędu w Lublinie pod dyrekcyą Halickiego i Rygiera, od roku zaś wchodzi w skład teatru radomskiego „Corso". Wszechstronnością swego talentu, pracowitością i osobistymi zaletami cieszył się wszędzie uznaniem pracy, oraz publiczności, której jest ulubieńcem.

Repertuar „Corsa" składa się przeważnie ze sztuk komedyowych, fars lub operetek, ale pozatem wystawia tu także nowości sceniczne z poważnego repertuaru sztukami patryotycznemi podnosi ducha, szerzy narodową myśl i zdrowe zasady. Aby przyciągnąć i te warstwy, które przenoszą kino nad scenę, poprzedza każdy spektakl drobny jakiś film i to także może jedna z tajemnic wyjątkowej frekwencyi publiczności.

Na pochwałę 70 tysięcznej ludności Radomia trzeba zaznaczyć, że umie ona utrzymać aż dwa teatry. O drugiej scenie radomskiej „Mirażu" pomówimy innym razem. *Rym.*

Henryk Miller tenor operetki Teatru Powszechnego w Krakowie.

Zwyżka walorów Teatru Powszechnego w Krakowie w bieżącym sezonie okazała się znacznie poważniejszą, aniżeli w ostatnim roku. Przyczynia się do tego doskonale zgrany zespół artystów, który wszelkich starań dokładają, aby najsilniej podnieść powodzenie naszej ludowej scenie. Repertuar wypełniają przeważnie operetki, w których role dzierżą artyści o niepospolitej wartości. Mamy tu na myśli p. H. Millera, znakomitego tenora w Teatrze Powszechnym. Pisałem o nim niejednokrotnie, z zainteresowaniem obserwując wzrost i gwałtowny wprost rozwój tego wielkiego talentu. Szeroka roz-

piętość emisyi głosu, nadzwyczajna inteligencya w opanowaniu ról wybijają p. Millera na czoło naszej operetki. P. Miller łączy w sobie przedewszystkiem dwie cechy, tak trudno zestrajające się u artystów operetkowych. Niejednokrotnie spotyka się i poważniejsze talenty głosowe, nie umiejące jednak wczuć się w reprezentowaną rolę, co jest przecież rzeczą niezmiernej wagi. Wtedy ma się wrażenie, że słyszy się piękne partye płynące same przez się, nie widząc człowieka, który jest wykonawcą tych partyi. A operetka nie wyklucza realizmu akcyi, co więcej, domaga się jej bezwarunkowo. P. Miller ma i jedno i drugie, co więcej, zestrojenie jest tu tak widoczne, że widz czasem sugestyonuje się, podziwiając wielki talent artysty.

Psychologia ról wybija się na czoło i towarzyszy w doskonałej harmonii wspaniale rozporządzanym walorom głosowym. Zwróćmy tylko uwagę na p. Millera w roli Barona cygańskiego, jako, że najbliżej stojąca. Widziałem już kilku artystów w tej roli, a jednak p. Miller nikomu nie ustąpił z drogi, co więcej, przewyższał swoją inteligencya zrozumienia roli i głosu prawdziwego i wielkiej wagi artysty. Nasuwa się tu jednak jeszcze inna myśl. Dlaczego p. Miller gra w operetce? Sądzę, że jest to dla niego już ogromnie mało, co więcej, jest to krzywdzące. Deski operetki są małe dla artysty tej miary i jedynie opera pozwoliłaby zaprodukowanie wszystkich stron wysokiego talentu. W operetce p. Millera całego nie widzimy, pełną linię rozwoju, jaką już dziś osiągnął, operetka tylko go krępuje, jak o tem dowodzi „Baron cygański", gdzie dopiero mógł odetchnąć pełną piersią i czuć się sobą. Jeszcze raz więc dodam, że opera jest dla niego jedynem polem i marnowanie się w operetce jest dla artysty takiego, jak p. Miller krzywdą a i krzywdą dla naszej sztuki, która powinna perły zbierać skrzętnie, a nie pomijać je, lub traktować tak po macoszemu. *W.*

Teatr „Reduta" w Warszawie.

Nasza stolica warszawska uchodzi słusznie za miasto teatralne. Niema prawie roku, aby nie powstał tu jakiś nowy przybytek sztuki scenicznej, poważnej, czy lekkiej. W historycznym dniu 29. listopada roku ubiegłego otwarto nowy przybytek sztuki, nazwany teatrem „Reduta" od sal redutowych, w których znalazł pomieszczenie. Otwarcie tej nowej sceny było w Warszawie wypadkiem dnia. Złożyły się na to dwie okoliczności: oto kierownictwo „Reduty" spoczęło w rękach znakomitego artysty, wybitnego reżysera i reformatora teatru p. Juliusza Osterwy, zaś na premierę przeznaczono głośny dramat St. Żeromskiego „Ponad śnieg". Teatr „Reduta" od pierwszego spektaklu publiczność warszawską uchwycił za serce. Prasa poświęciła otwarciu nowej placówki prawdziwej kultury sce-



Naokoło sceny: Henryk Miller tenor z teatru Powszechnego w Krakowie

nicznej całe szpalty i zgodnie stwierdziła tryumf „reżysera twórcy i duszy“ tego teatru p. Osterwy. Znakomity artysta jest krakowianinem. Tu stawiał pierwsze kroki na deskach teatru ludowego, skąd pojechał do Poznania, gdzie stał się ulubieńcem publiczności. Następnie był rok w Wilnie, potem w Łodzi, wreszcie grywał w Warszawie w „Rozmaitościach“ i „Polskim“. Wsławił się głównie kreacyami w „Orlątku“ Rostanda, w Trylogii Rydla „Zygmunt August“, wreszcie w głośnej nowości w „Kochankach“ Grubińskiego; obecnie zbiera laury w dramacie Żeromskiego. Słowa pełne uznania towarzyszyły również kreacyom p. Wandy Osterwiny (żony kierownika teatru), która grając przedtem w „Polskim“ teraz wystąpiła w „Ponad śnieg“, p. Wandy Siemaszkowej, p. Szymańskiego, Kochanowicza i wogóle całemu zespołowi, który pod wodzą Osterwy wywierał wrażenie koncertu wspaniale zgranej orkiestry symfonicznej. Dekoracye malowane przez wybitnego malarza p. Zbigniewa Pronaszkę wywołały ogólny zachwyt. Parę słów należy się wreszcie „intérieur“ Teatru. Za przykładem teatru Stanisławskiego w Moskwie, jest scena ustawiona na poziomie pierwszych kilku rzędów krzeseł, reszta zaś miejsc wznosi się stopniowo w górę. Budka suflera nie istnieje. Innowacyę tę wprowadził również Stanisławski, aby zmusić aktora do pamięciowego opanowania roli, a idealistyczne odtworzenie sceniczne zbliżyć do możliwego ideału.



Echa węgierskiego bolszewizmu: Sędziowie-teroryści węgierscy. Maurycy Löbl, wykonawca wyroków trybunału rewolucyjnego. Czerny szef „kadetów Lenina“ (od lewej strony) i Korwin-Klein (w środku) prezydent trybunału rewolucyjnego. Dr. Eugeniusz Laszlo, komisarz trybunału rewolucyjnego.

Echa węgierskiego bolszewizmu.

Można sądzić o większości przewódców węgierskiego bolszewizmu z załączonych zdjęć: wszystkie te twarze o wybitnych cechach zboczeń fizyologicznych i moralnych przedstawiają typy napiętnowane cynizmem, brakiem wszelkich zasad i rysy ludzi zezwierzęconych. Łączy się tu trywialność z krwiożerczością, hypokryzya z nadzwyczajną słabością moralną, jest tu uosobienie brutalności z całkowitą obojętnością na wszelką podłość.

Są to wszyscy twórcy bolszewickiej organizacyi t. zw. „kadetów Lenina“, mających na celu podtrzymywanie ustawicznego ruchu rewolucyjnego. Byli oni „sędziami!“ i jakby na ironię w tejsamej sali, w której sądzili niewinnych, dziś stają przed trybunałem sprawiedliwości. Potrzeba dać krótki rzut na obraz ich sądów, który zresztą bardzo wyraźnie rysuje się w ich twarzach.

Otto Korwin Klein jest wzrostu niskiego o kabłąkowatych nogach, garbaty, o anormalnym kadłubie, był strasznym inkwizytorem, który wykonywał swoje funkcye sędziego w pałacu budapesztyńskim.

Doktór Laszlo był generalnym prokuratorem obok Czernego, szefa kadetów Lenina i trzech jeszcze kreatur, wszyscy zaliczający się do inteligencyi ze względu na swoje studya.

Zdarzyło się raz, że w pewnej kawiarni budapeszteńskiej przyaresztowano 11 osób, podejrzanych o przekonania antyrewolucyjne. Przyprowadzono ich do Korwina, na którego biurku przyciskaczem pod papiery był rewolwer. „Mój czas jest drogi“ — i bez pytania o jakość winy, bez najmniejszego usprawiedliwienia ze strony oskarżonych, odesłał ich przed trybunał rewolucyjny, któremu przewodniczył Czerny. Wezwano obrońcę oskarżonych, jednego na jedenaście osób, któremu na zapytanie jaki charakter przedstawia wina odpowiedziano, że się dowie podczas rozprawy. Cały akt oskarżenia, zredagowany przez Laszlo, mieścił się w kilku słowach: „Jesteście kontrrewolucynnistami“ — umotywowań nie potrzeba było. Następnie oddano obronę adwokatowi, który miał na swoją mowę jedną minutę czasu. Wszelkie jednak protesty, że przeprowadzić obronę 11 osób w ciągu jednej minuty, jest rzeczą niemożliwą, były grochem rzucanym o ścianę.

W liczbie zbrodni, popełnionych przez Czernego i jego kompanów, było zamordowanie generała Fery i jego dwóch podkomendnych pułkowników Borthy Menkiny. Czerny 19 czerwca zeszłego roku wydał rozkaz komisarzowi Klepko, komendantowi czerwonej gwardyi aresztowania generała i pułkowników. Jakiemuś porucznikowi polecono sprawę załatwić. Wszystkich trzech obwinionych skazano na śmierć. Wyrok miano wykonać najpierw na Borthy, potem Menkinie, a wreszcie Fery; wszystkich trzech przedtem w okrutny sposób męczono. Przygotowanie do wykonania wyroku było krótkie: w celi przerzucono na haku sznur, jedyne narzędzie inkwizycyi bolszewickiej na Węgrzech. Borthy skoro zawisł na powrozie, począł wykonywać w agonii gwałtowne ruchy nogami, wskutek czego został przez jednego z rewolucyonistów przebity bagnetem.

Są to straszne przykłady zezwierzęcenia, a jednak prawdziwe, o czem zresztą nikt nie będzie wątpił, spojrzawszy na ich twarze.

Czternastu z nich skazano na śmierć: Czernego i jego wspólkompana na czele „kadetów Lenina“ imieniem Papp. Dobsa, Mesaros, który zamordował młodego Holenderczyka, Maurycego Löbl i Steigara, którzy zastrzelili profesora Behrenda, Küvara i Maksa morderców studenta Madarassi; wreszcie: Bonhyadi Kakas, Löncher, Csonov i Neumajer.



Józef Katona. Emeryk Dogei. Komisarze-teroryści węgierscy. Józef Schönfeld. Gabryel Schön-Goldberger.

Echa węgierskiego bolszewizmu:

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

15

— Proszę mi wybaczyć opóźnienie, panie sędzio — rzekł prędko — ale zostałem zawezwany do dyrekcyi, gdzie pokazano mi depeszę nadeszłą z Ameryki... Złodziej banku chicagowskiego został ujęty... przyznał się do wszystkiego. Nie jego więc to zamordowano przy ulicy Biot!

— Oczywiście! — mruknął Newton przez zęby.

— Jednakże — ciągnął dalej Lapipe — niema najmniejszej wątpliwości, że człowiek, który obecnie stoi przed nami, jest zbrodniarzem i że powinien zdać rachunek ze swoich sprawek przed sprawiedliwością.

— Na czem pan opiera swoje przypuszczenia? — zapytał sędzia.

Na zapytanie to, Lapipe dał obszerną odpowiedź, skreślając cały przebieg wydarzeń, od chwili, w której spotkał w biurze komisaryatu w Marsylii kapitana z Black Old Dog'u.

Newton nie stracił ani jednego słowa z tego opowiadania. Nie wątpił, że to morderca Mrs. Aesthon był tym człowiekiem, który wylądował we Francyi, otoczywszy się poprzednio całą seryą ostrożności wyszukanych, chcąc uniknąć zetknięcia z policyą i zrozumiał teraz, że Lapipe oszołomiony oparami chloroformu, nie spostrzegł, że fatalnie oszukanym został, że morderca z hotelu Książąt Portugalskich zamienił się tam na miejscu w inną osobistość i korzystając z dogodnych dla siebie okoliczności, znikł na zawsze, w chwili najniebezpieczniejszej dla siebie.

Przypomnienie wszystkich tych historyi wywołało uśmiech na jego ustach.

— Pan się śmieje? — zawołał Lapipe, dotknięty do żywego, mierząc go surowem spojrzeniem.

— Uczyniłby pan tosamo, gdyby był na miejscu mojem. — odpart Newton — Pozwoli pan, że przedewszystkiem prosić pana będę o przebaczenie.

— Mnie o przebaczenie! Cóż to znowu za komedya? — oburzył się Lapipe. — Zapomina pan, że znajduje się jako oskarżony wobec sędziego.

— I dlatego właśnie, chcę prosić pana o przebaczenie, że dozwoliłem mimowoli na marnowanie cennego czasu pana. Panowie obydwaj się mylą i to zasadniczo, niestety, oskarżając mnie o tę zbrodnię. Ja jestem detektyw Newton z Ameryki, a nie zbrodniarz, za jakiego panowie łaskawie mnie biorą.

— Newton?! Pan jest Newton? — zawołał Lapipe ze zdumieniem — Sławny detektyw amerykański?

— Ten sam, do usług pana, panie Lapipe. A zaaresztowany zostałem przez pana dlatego, że i ja również pozwoliłem sobie na przeprowadzenie maleńkiego śledztwa w domu przy placu Malherbes.

— Więc pan jest Newton? — powtórzył raz jeszcze Lapipe, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. Jak ja mogłem pomylić się do tego stopnia!

— Zdarza się to najmądrzejszym ludziom. — oświadczył detektyw, pochylając głowę przed kolegą.

— Jakże jednak stoi śledztwo w sprawie morderstwa pana Korpstraussa? — zapytał sędzia ubawiony tą niezwykłą sytuacyą.

— Wczoraj właśnie zamknięte zostało z braku wszelkich dowodów. — odpowiedział Lapipe — Nie znaleźliśmy nic zgoła, oprócz skrawka papieru z cyframi 7, 85. Ślad bardzo nikły, który nas do mordercy zaprowadzić nie pozwoli.

— Rzeczywiście. — potwierdził Newton — 7. 85, powiada pan? Z tego nikt mądrym nie będzie.

— Według mojego zdania rzekł Lapipe — tu chodzi o zbrodnię sensacyjną i lepiej może w interesie rodziny całej nie zgłębiać jej zanadto. Czy nie jest to również zdanie pana, panie Newton?

— Oczywiście panie Lapipe.

— Doskonale idzie. Nie odkryli nic dotąd. — pomyślał Newton z zadowoleniem — Sprawa przerwana zostanie i baronowa spać może spokojnie.

Poczem podjął głośno śmiejąc się.

— Myśmy się przecież już raz spotkali panie Lapipe.

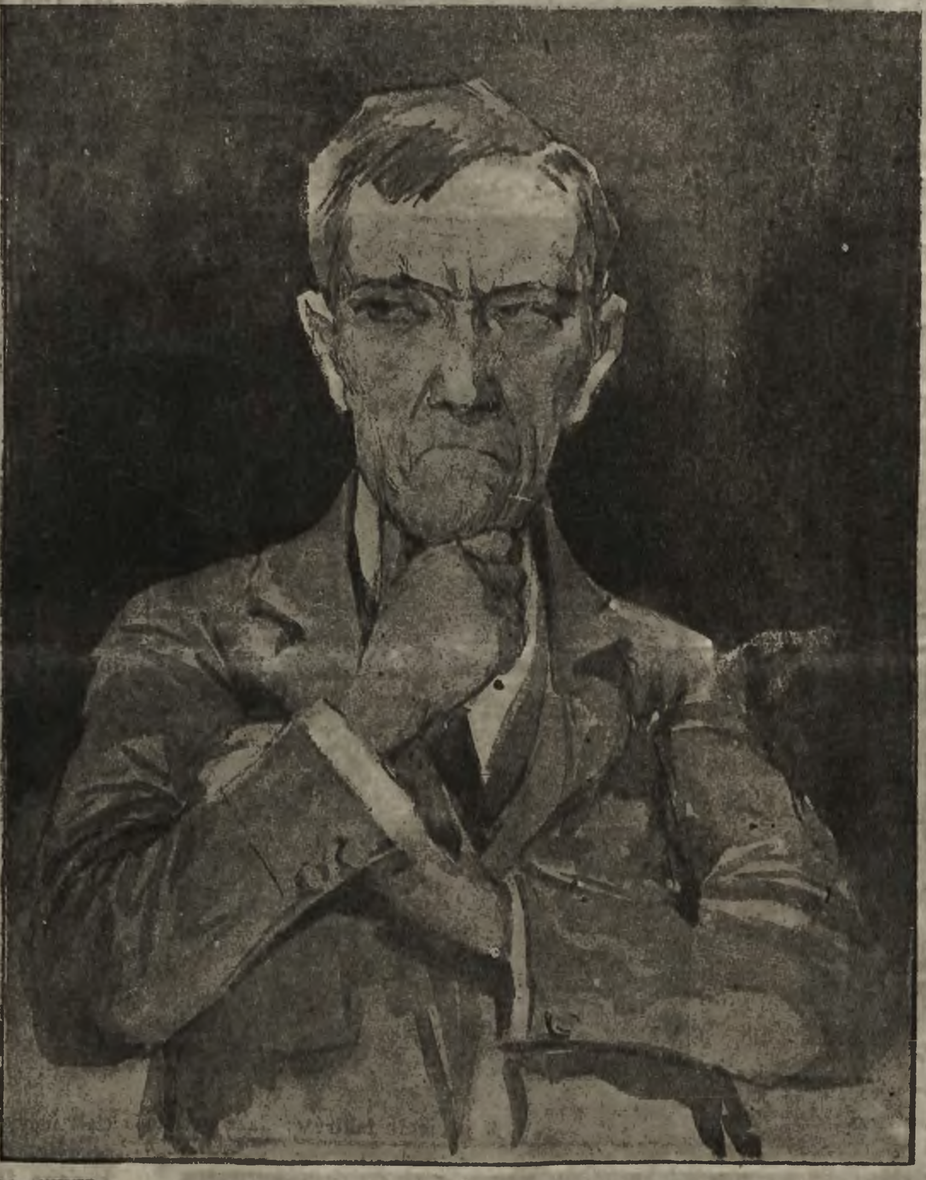
— Gdzież to, panie Newton?

— Ależ właśnie w tym hotelu na ulicy Biot, o którym wspominał pan przed chwilą.

— W hotelu na ulicy Biot? — powtórzył Lapipe, szeroko roztwierając oczy.

— Czy przypomina pan sobie tego nieznośnego Anglika, upominającego się nieustannie o swoje bagaże, którego spotykano wszędzie, na korytarzach, na schodach?

— A więc co?



.... myśl nagła zajaśniała w mózgu Newtona.

— Tym Anglikiem byłem ja.

— Pan?

— Ja. Śledziłem od dworca Syońskiego tę samą osobistość co pan i znalazłem się w ten sposób w hotelu Książąt Portugalskich.

— Znęciła pana również ładna nagroda? — westchnął Lapipe z miną kota, którego odstawiono od miski pełnej mleka.

— To jednak dziwne! — zawołał Newton — Byłem pewny, że mnie pan poznał, skoro mnie pan w taki gwałtowny sposób kazał aresztować na placu Malherbes.

— Nie! — odpart Lapipe — Nie poznałem pana. Powodem aresztowania był ten skrawek papieru znaleziony przy panu. Teraz się nie dziwię już, że był w pana posiadaniu, skoro znajdowałeś się pan przy ulicy Biot.

Ale kiedy Lapipe opowiadał mu historyę tego biletu omnibusowego, wydanego przez konduktora na żądanie tajemniczego pasażera — myśl nagła zajaśniała w mózgu Newtona.

Ten skrawek papieru znaleziony na podłodze w pokoju przy placu Malherbes stawał się dla niego drogocennym i nieprzewidzianym śladem. Morderca Mrs. Aesthon nieznajomego z ulicy Biot i bankiera Korpstraussa był jedną i tąsamą osobą.

Maleńki skrawek papieru był łącznikiem dającym ten wspaniały rezultat!

Ale Newton nie zdradził się przed inspektorem z tem odkryciem. Bandyta z New-Jork nie był jeszcze pochwycony i kto wie, czy do tej pory nie powiększył już ciężaru swoich karygodnych zbrodni. Newton pragnął móGz jak najspieszniej rzucić się w zaciekłą pogoń za nim.

Do tego zaś Lapipe wcale potrzebnym mu nie był.

Po chwili, kiedy obydwaj detektywi wychodzili z kancelaryi sędziego, Lapipe odezwał się, patrząc trochę nieśmiało na nowego kolegę.

— Powinienem prosić pana o przebaczenie za to niemądre aresztowanie, nieprawdaż kochany panie Newton?

— Ależ bynajmniej. — zaśmiał się szczerze detektyw, ujmując go przyjacielsko pod ramię — Czuję się bardzo szczęśliwy z oficyalnego poznania pana.

Banda Asów Kierowych.

W Komedyi Francuskiej grano tego dnia „Cyrulika Sewilskiego“.

Był ty dzień abonamentów. Sala była przepełniona. Członkowie wszystkich stowarzyszeń, którzy tego dnia znajdowali się w Paryżu. stawili się w komplecie. We wszystkich lożach i na dole na sali nie było ani jednego wolnego miejsca.

Baronowa Branerswerska lśniąca od brylantów siedziała w swojej loży wyjątkowo bez żadnego towarzystwa. Jak zazwyczaj, przybyła już na końcu pierwszego aktu.

Baronowa była w doskonałym humorze, ponieważ Newton zdołał ją już uspokoić dostatecznie.

Śledztwo w sprawie morderstwa bankiera Korpstraussa zostało zamknięte, bez koniecznej potrzeby otworzenia kasy ogniotrwałej.

Akta więc zawierające plany, znajdowały się ciągle w dawnem ukryciu i należało tylko czekać na zgodę attaché wojskowego z X — by podjąć umówioną sumę za wydanie ich.

Pomimo tego jednak nieufność baronowej czuwała jeszcze, a ponieważ wyczuwała zdwojoną czujność roztoczoną wokoło siebie — stała się tem ostrożniejszą.

I podczas, kiedy nieszczęsna Rozyna wzdychała na scenie za wolnością, dwóch ludzi ukrytych w pustej i nieoświetlonej części części Galeryi Królewskiego Pałacu rozmawiało półgłosem.

Para ta w wyglądzie przedstawiała kontrast największy. Jeden z mężczyzn w wysokim kapeluszu i futrze obszernym, wytworny był, ruchy miał eleganckie i zręczne. W ręce obciągniętej jasną rękawiczką trzymał laskę ze złotą gałką delikatnie rzeźbioną, przy klapie zaś jego surduta pysznila się różnokolorowa rozeta, wskazująca, że człowiek ten piastował dosyć wysoką godność.

Drugi przeciwnie, niski był i przysadzisty. Pomimo ostrego zimna, gdyż był to już koniec stycznia, nie miał płaszcza na sobie, ale natomiast kołnierz jego surduta podniesiony był aż po uszy, a ręce trzymał wsunięte aż po łokieć w kieszeniach spodni. Na głowie miał wyświecony, zniszczony twardy kapelusz zasunięty głęboko na oczy, z pod którego wyglądały kosmyki włosów zaczesane filuternie ku skroniom. U grubej, wilgotnej wargi wisiał napół wypalony papieros.

Pierwszy miał typowy wygląd wszechświatowego awanturnika, drugi podmiejskiego apasza.

— Masz przy sobie knebel? — zapytał pierwszy.

— W prawej kieszeni.

— A tampon z chloroformem?

— W lewej.

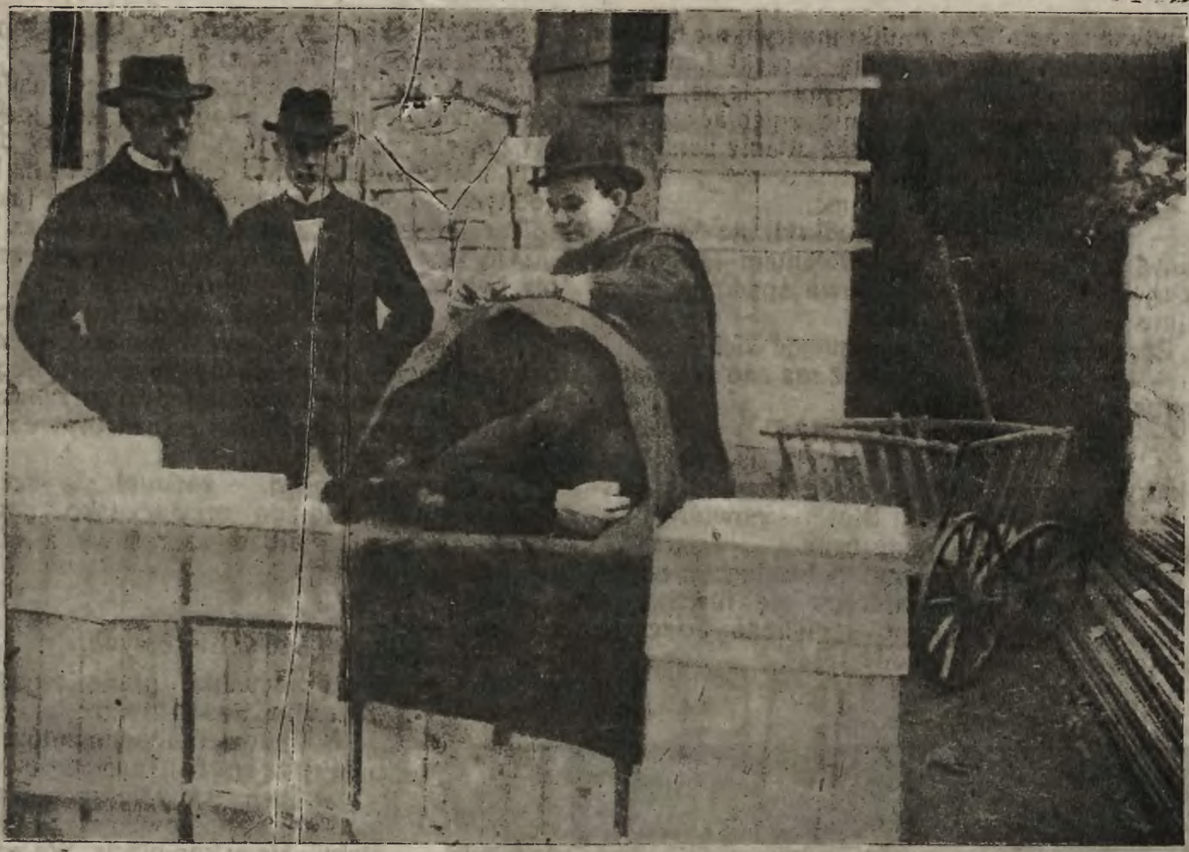
— Watowane sznury?

— Okręcone koło mnie.

— Płaszcz czarny?

— Jest także. Wszystko w porządku, aż miło

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z tajemnic fakirów: Kara Iki wkłada indyjskiego ak ra do plecaka.

Z tajemnic fakirów.

Dziś, kiedy świat cały zajmuje się telepatyą i jej ciekawemi objawami i doświadczeniami, żywe zainteresowanie budzą eksperymenty znanego telepaty i sugestatora Kara Iki. Kara Iki do swoich prac używa indyjskiego fakira Urdhva Bahu. Życie fakirów pełne ascetyzmy i ćwiczeń kierowanych samozaparciem się własnej osobowości zdołało związać się już z tyloma i tak tajemniczemi faktami, że rozwiązenie ich rozbudza ciekawe problemy w kołach naukowych nawet.

Doświadczenia Kara Iki eksperymentowane przed szeroką publicznością i w gronie fachowych znawców zostały przyjęte z nadzwyczajnem zdziwieniem tak są oryginalne i tak urągają dotychczasowym pojęciom naukowym.

Urdhva Bahu pochodzi z Bombayu, ma lat trzydzieści. Przez żelazną energię i długoletnie ćwiczenie ociągnął on taką podatność i giętkość ciała, jakiej dotychczas w Europie nie widziano, a którą mógł w tym stopniu osiągnąć jedynie indyjski fakir. Jest on słusznej budowy ciała i posiada zdolność wykonywania niezwykłych ruchów ciała.

Bardzo interesujący wypadek zainicyował Kara Iki. Oto włożył on oryginalnego fakira do zwyczajnego plecaka; obserwowano położenie ciała. Głowę umieścił on u podstawy plecaka, ciało zwinięte w kłębek. Tak zmniejszonego Urdhva Bahu włożono do plecaka i zawiązano sznurkiem. Następnie opakowano plecak w skórzany wór, aby uniemożliwić



Z tajemnic fakirów: Urdhva Bahu zakopany w ogrodzie na dwa tygodnie bez pożywienia i dostępu powietrza.



Z tajemnic fakirów: Jaką była linia ciała indyjskiego fakira w plecaku.

wszelki dostęp powietrza i pożywienia i teraz zakopano fakira w ogrodzie. Na dowód, że Urdhva Bahu rzeczywiście znajduje się w zakopanym plecaku, kazano mu wystawić rękę nad ziemię. W ten sposób fakir pozostał zakopany przez 14 dni bez powietrza i pożywienia. Wykopany po dwóch tygodniach, czuł się zupełnie dobrze.

Wypadek ten wprost trudny do uwierzenia, urągający wszelkim zasadom i prawom natury, który był przed zgromadzoną i solidną komisyą interpretowany swoją niezrozumiałością tak dziwny, szeroko interpretowano i poddano ożywionej dyskusyi. Wszelkie „naciąganie" było tu wykluczone; sumienne badanie nie pozwalało na żadne podejście; cały wypadek był wprawdzie niewiarygodnym wprost, a jednak rzeczywistym. Usunięcie wszelkiego dostępu powietrza i pożywienia było ze ścisłością dokonane, wykluczające wszelkie podejrzenia. Interpretacya była trudną. Postawione rozmaite uzasadnienia zbijały jedno drugie, tak, że ostatecznie do żadnych wyników nie doszło się. Widziano jedynie fakt, który wytłómaczyć było rzeczą niemożliwą. Jasnem było tylko to, że się miało tutaj do czynienia z niezmiernie silną wolą, zaprzeczającą swoją żelazną trwałością nawet prawa natury.



Z tajemnic fakirów: Po ukończeniu eksperymentu Urdhva Bahu wychyla głowę z plecaka na dowód, że żyje.

Kronika tygodniowa.

Kraków się bawi!

Ostatecznie nie można się temu i dziwić, gdyż karnawał przeznaczony jest na zabawę, a na „gorzkie żale“ będzie dość czasu w poście, ale należałoby zachować pewną miarę, bo ostatecznie nie mamy powodu do takiej nadzwyczajnej wesołości. Trochę to dziwnie wygląda, jeśli się zważy, że jedni nie mają co jeść, nie mają się w co odziać, ani przy czem zagrzać, drudzy zaś łamią sobie tylko nad tem głowę, jak najweselej i najprzyjemniej czas spędzić. A tych pierwszych jest, niestety, ogromna większość, a należy do niej proletaryat inteligentny, rekrutujący się z pomiędzy urzędników, profesorów, literatów, dziennikarzy, jednem słowem cała „goła demokracya“ i to goła w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Gdyby styczeń miał sześćdziesiąt dni, a pierwsza połowa lutego drugie tyle, z pewnością na każdy dzień wypadłaby bodaj jedna zabawa.

Ci, którzy się bawią, mają przecież spokojne sumienie, bo czynią to nie dla własnej przyjemności, ale dla dobra ogółu, każda bowiem zabawa ma jakiś cel szlachetny. Nogi swe składają na ołtarzu dobroczynności publicznej, niemi ocierają łzy nieszczęśliwym, przysparzają dochodów różnym instytucyom humanitarnym, więc chyba nie można im tego brać za złe. Każdy radby przyłożyć swą cegiełkę do odbudowy gmachu, który się nazywa naszą przyszłością, a czyni to w sposób, na jaki go stać.

Bawią się więc starzy i młodzi, tłuści chudzi, paskarze i uczciwi ludzie, a ta „pląsawica“ wystąpiła tak ogólnie i z takiem nasileniem, że n. p. pewien młody handlowiec zbliża się stale do gości mazurowym krokiem, inny zaś pyta:

— Czy mogę pana radcę zaangażować do polędwicy wieprzowej, czy też do kiełbasy z kapustą?...

— A czy ładna? — pyta pan radca, mając naturalnie na myśli polędwicę.

— Jak anioł, panie radco!... — odpowiada zagadnięty, mając znów przed oczyma swój ideał, z którym całą noc wywijał na zabawie, nie pomnąc na to, że obuwie dziś takie drogie, a sprawienie sobie nowych zelówek, to ideał także, ale nie dla każdego łatwy do osiągnięcia. Urzędnik, dajmy na to, musi się dobrze nad tem zastanowić, nim sobie pozwoli na podobny wydatek. Ale też urzędnik się nie bawi. Bawią się ci, którym grosz łatwo przychodzi. Sypią go też pełnemi garściami, wiedząc o tem, że jutro nastąpi dalszy ciąg, bo stosunki wywołane wojną, choć ona niby już się skończyła, nie tak prędko się zmienią, a oni znajdą jeszcze niejedną sposobność do „uczciwego“ zarobku kosztem innych.

A może w tym szale zabawy chcą zagłuszyć wyrzuty sumienia? I to nie jest wykluczone.

Kronikarz, rzecz oczywistą, jako „goły demokrata“ nie pracuje nogami dla dobra bliźnich, ale czytuje codziennie zawiadomienia o różnych zabawach i doszedł do przeświadczenia, że tak „roztańcowany“ nie był Kraków nawet w najlepszych czasach, gdy się o wojnie nikomu nie śniło, choć znów z drugiej strony nie może zaprzeczyć, że jest to tylko następstwo wojny, a ta nadzwyczajna wesołość ma w sobie coś chorobliwego.

I szuka skrzętnie w *Kuryerku* czy przypadkiem który z uczonych nie wynalazł przypadkiem prętka „tanecznego“ *(baccillus ficandi)* i teraz dopiero zdaje sobie z tego sprawę, dlaczego w czasie karnawału młodzi ludzie obojga płci z taką lubością konsumują... nóżki cielęce. Swojego czasu ogłoszono, że przez spożywanie odpowiednich organów zwierzęcych, można odświeżyć i wzmocnić swoje własne. A w czasie karnawału powinno się mieć ...charakter w nogach.

Jeśli się porówna obecny karnawał z przedwojennymi, dochodzi się do przekonania, że się mają do siebie, jak lampa łukowa do zwykłej łojówki. Dawniej bawiono się może nawet i lepiej, ale nie tak głośno, to też starsze pokolenie, choć wtedy było także młode, miało zupełnie inne wymagania, niż to, które obecnie w świat wchodzi i rwie się do życia z jakąś chorobliwą gorączką, po niej zaś odczuwa, co najmniej, niesmak, o ile nie przyłączą się do tego inne komplikacye.

A należało się spodziewać, że właśnie ten karnawał będzie bardzo spokojny, bo jak sobie go wyobrazić bez pączków?... A tymczasem przekonujemy się, że się bez nich można zupełnie dobrze obejść, a nawet bawić znakomicie. Dzięki wojnie przekonaliśmy się, że tak nie jest i że wystarczą nam w karnawale do szczęścia nawet... śledzie. Miejsce „tańcujących pączków“, o których starzy ludzie wspominają z taką lubością, zajmie obecnie „tańcujący śledź“.

Bo tak jest, a nie inaczej! Pączków wypiekać nie wolno, a choćby nawet i pozwolono, to niema z czego, bo mąki krak, a cukier wydają sklepy rejonowe w połowie stycznia za listopad! Zato nadeszło w ostatnich czasach, jak doniósł komunikat Biura aprowizacyjnego, kilka wagonów śledzi, a dalsze transporty są w drodze, gdyż naszym dzielnym dyplomatom udało się uzyskać w Norwegii pożyczkę w kwocie dwadzieścia pięć milionów koron, którą wypłacą nam nie w gotówce, ale... śledziami.

Na czas wielkopostny jest to artykuł bardzo pożądany i kto wie, czy nie doczekamy się tej przyjemnej i bardzo pożądanej chwili, że nawet zwykły śmiertelnik będzie sobie mógł na podobny wydatek pozwolić. Jak dziś rzeczy stoją, to śledź może się pojawić tylko na wielkopańskim stole i zastąpił w zupełności łososia. Jak stwierdzają cenniki restauracyjne kosztuje śledź marynowany ośm koron, może więc być zupełnie słusznie uważany za ozdobę biesiadnego stołu i to ozdobę nielada, na jaką sobie może pozwolić chyba paskarz.

Ktoby tam zresztą śnił o podobnych specyałach, dostępnych tylko dla wybranych!... Zwykły śmiertelnik jest kontent jeśli ma kawałek chleba, a i o to trudno, gdyż pewni agraryusze nie mogą się jakoś zdecydować na dostarczenie kontyngentu zbożowego, a pod tym względem zgadzają się i wielcy i mali. Wielcy bodaj obiecują, że to się stanie, mali natomiast są zdania, że skoro Polska jest chłopską, to skąd przychodzi chłop do tego, aby miał karmić miejskich „ciarachów“ i to tak tanio! Chcą jeść, niech płacą, to się znajdzie i zboże. A władze nie mogą należycie przycisnąć zwłaszcza małych, aby posłowie ludowi nie narobili gwałtu, że się ich wyborcom dzieje krzywda.

I tak się pięknie złożyło, że, o ile żyjemy życiem przyspieszonem, gdyż każdy z nas jest zupełnie niepotrzebnie według letniego zegara starszy o całą godzinę, niż to być powinno, o tyle znów co się tyczy jedzenia jesteśmy w tyle i tak się już do tego przyzwyczailiśmy, że nam to zupełnie nie robi różnicy. Komunikat magistracki, że począwszy od 10 stycznia będzie się wydawać chleb za ostatni tydzień grudnia, a cukier za drugą połowę listopada, nie dziwi nikogo i nie spotyka się bynajmniej z jakąś krytyką. Odezwie się wprawdzie ten lub ów, ale mu powiedzą: „Bądź kontent, żeś bodaj teraz dostał!“ i siedzi cicho.

Jeśli jest teraz tak, to cóż będzie dopiero, gdy nadejdzie prawdziwy przednowek, to jest, gdy się zje stare, a nowego nie będzie jeszcze? Trzeba będzie ograniczyć się na żywieniu kartkami chlebowemi, cukrowemi itp. no i... obietnicami, a te są wprawdzie bardzo lekko strawne, ale zupełnie nie sycą!.. Już dziś czytamy, że ministerstwo radzi nad wprowadzeniem ograniczeń w spożywaniu mięsa, cukru i węgli, to jest, że te ostatnie wolno każdemu jeść, o ile je posiada i znajduje w nich smak, ale grzać się przy nich nie śmie, chyba, gdyby... nic sobie nie robił z ministeryalnego rozporządzenia.

Będziemy więc mieć znowu posty, podobnie jak za austryackich czasów, a będą one obowiązywać, tak jak tamte, tylko biedaków, bo paskarz uraczy się dowoli. Restaurator doliczy sobie „za strach“, ale sprzeda, na jadłospisie może zresztą figurować „kotlet z lina“, a że linów brak, więc z grzeczności zastąpi je chwilowo potulne cielę lub sympatyczne stworzenie bez rogów, otwierające ryjem furtkę.

Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie — kto się chce najeść, a ma pieniądze, ten z pewnością nawet i w dzień urzędowego postu nie zginie z głodu. Od czegóż zresztą dyspenza, którą człowiek sam sobie daje?

Jak ten nasz polski urzędowy post będzie wyglądał, tego nikt dotąd nie wie, ale, znając fachowość naszych władz centralnych, możemy być pewni, że to będzie jakiś dziwoląg, bardzo pięknie się prezentujący na papierze, ale nie w praktyce, a nie jest wykluczonem, że może obowiązywać tylko Małopolskę, bo skoro pan Nikodem Hryćkiewicz powiedział, że „Galicya jest bankrutem materyalnym i moralnym“, to też ona sama powinna cierpieć za swe grzechy. Jeśli się tu zaprowadzi post z urzędu, porobi się oszczędności, wobec czego Warszawa nie będzie się potrzebowała umartwiać.

Pan minister Grabski dał już dowód, że współczuje z nędzą tej części Polski, w jego ślady gotów pójść jego kolega od aprowizacyi, a z pewnością nie znajdzie się nikt w gabinecie, kto chciałby się ująć za nami. Zasiada tam wprawdzie nasz krakowski poseł, ale ten ma usprawiedliwienie:

— Bardzo przepraszam!... To nie jest mój referat! Ja jestem od rolnictwa, nie od aprowizacyi i w nieswoje rzeczy się nie mieszam!...

Już to nasi ministrowie cierpią coś widocznie do koron.

Rok temu chciał pan minister Thugat zedrzeć polskiemu Orłowi koronę z głowy, teraz pan Grabski wyciąga nam korony z kieszeni i uspokaja, że to tylko dla naszego dobra, bo korona, tak czy owak, nic nie warta!

Panu Thugutowi nie udał się eksperyment z koroną, lepiej poszło koledze Grabskiemu, a pomogli mu do osiągnięcia sukcesu nawet niektórzy galicyjscy posłowie, nie chcący, czy nie mogący tego zrozumieć, że to przecież zamach na naszą kieszeń, a otwarcie pola popisu dla spekulantów i to ze szkodą całego kraju. Rzucili się też do robienia interesów i powiedzieli sobie, że przecież pan Grabski to „*kepele*“ i dobry człowiek, bo o nich pamięta, a im wszystko jedno czy to korona czy marka, byle można było na niej robić interesy.

Narodowa demokracya poparła ministra Grabskiego jako „swojego człowieka“ całą forsą, „goła demokracya“ przyjęła ten zamach na kieszenie ze spokojem i rezygnacyą, boć wszystko jedno, jaka będzie relacya marki do korony, jeśli się nie ma ani jednej ani drugiej.

W dniu 15 stycznia zjada w Sejmie warszawskim marka koronę. Narobiono z tego powodu hałasu, ale się wnet pokazało, że to była tylko burza w szklance wody. Grożono dymisyą całego gabinetu, albo choćby tylko samego pana Grabskiego, tymczasem gabinet dotąd się nie rozleciał, a pan minister skarbu śmieje się z nas w kułak i powiada:

— A co? Nie postawiłem na swojem?...

Pokazuje się, jakie to ma zbawienne skutki, jeśli aptekarz jest członkiem gabinetu i to do tego w charakterze prezesa!... Na wszystko znajdzie środek zaradczy, niczem owa „jedynie niezawodna maść na porost włosów“, po której użyciu wyrasta w tygodniu nowe owłosienie, nawet na starem wytartem futrze, o ile... je kto ma!

To nam dodaje otuchy, każe nam śmiało spoglądać w przeszłość i pozwala spać spokojnie. Paderewski, jako artysta, żył ideałami, aptekarze znani są ze swej praktyczności, a chyba tamci z Kongresówki nie różnią się bardzo pod tym względem od swych galicyjskich kolegów.

Dziwię się tylko, że pan Skulski ograniczył się na samem przewodnictwie gabinetu, gdy z jaką teką, dajmy na to spraw wewnętrznych, byłoby mu zupełnie do twarzy. Wszak właśnie aptekarz zna się na nich najlepiej, reperując je różnymi olejami, proszkami, miksturami i innymi środkami, o których sami mówią:

— Pomódz, może nie pomoże, ale nie zaszkodzi!

A nam właśnie takiego potrzeba było sternika naszej nawy państwowej i miejmy nadzieję, że nas szczęśliwie doprowadzi do brzegu, jeśli mu się zaś nie uda, bo i to się czasem, choć rzadko, aptekarzowi zdarza, pójdzie „na dobrze zasłużony wypoczynek“, aby zrobić miejsce innemu.

Szkoda wielka, że w tym nowym gabinecie niema ministra zdrowia, byłby nim bowiem prawdopodobnie lekarz, jako najbardziej fachowy. Jest wprawdzie aptekarz, a i oni umieją radzić, ale co Eskulap, to Eskulap!... Wobec niego i choroby różne mają respekt. Na to nie trzeba dowodu. W poprzednim zespole był dr. Janiszewski, mieliśmy też w kraju, oprócz innych mniej ważnych chorób, tyfus plamisty, hiszpankę i japonkę, teraz, dowiedziawszy się, że pogromca ich poszedł w stan rozporządzalności, robi na nas ofenzywę od wschodu dżuma, a od zachodu czarna ospa.

Co do tej ostatniej, takowa się miała podobno pojawić gdzieś w Cieszyńskiem, przypuszczam, że się ma tak, jak za dawnych, austryackich czasów z różnemi epidemiami w okresie przedwyborczym. O ile w okręgu zgłosił kandydaturę ktoś rządowi niemiły, zaraz pojawiał się w okolicy jakiś tyfusik lub coś podobnego, co uniemożliwiało zgromadzenie przedwyborcze.

Tak samo może być w Cieszyńskiem. Ta czarna ospa jest może zamówiona przez koalicyę, aby Śląsk oddać Czechom bez plebiscytu.

Na szerzenie się chorób zaraźliwych wpływa bardzo dodatnio obecna aura. Zamiast dawnych styczniowych mrozów mamy stosunkowo dość ciepło, choć węgli brak i deszcz.

Tłumaczą to w ten sposób, że w niebie referentem od pogody został jakiś warszawski ministeryalny „fachowiec“.

Inni są zdania, że i ta zmiana temperatury jest dziełem koalicyi, a uchwaloną została w Paryżu przez Radę Najwyższą. Koalicya zabiera nam węgle, ale w zamian za to puszcza nam zachodnie, ciepłe wiatry, abyśmy nie zmarzli.

Nie należy się przecież martwić, jakiś bowiem podhalański meteorolog, który się podobno nie myli, tylko czasem, zapowiada mrozy na... czerwiec.

Niechaj więc żywi nie tracą nadziei, umarłym na nic ona się nie przyda. Z czasem stosunki ułożą się, ale wszystkiego i naraz żądać nie można.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

26

— Nie! to nie dziwne, tylko zupełnie naturalne i szczere — zaprzeczyła Jachimska. My nie działaliśmy nigdy pod przymusem, tylko z dobrej woli i obopólnego pragnienia o to wszystko! A ludzie! Oh! moja kochana pani! Cóż oni mi zrobić mogą! Niedobre ich słowa nie dosięgną mnie nigdy, bo ich nie chcę słyszeć. Nie uczyniłam nikomu krzywdy, kocham Stefana i dziecko ponad wszystko, pracujemy wspólnie, aby dziecku los na przyszłość zabezpieczyć, czegóż mi więcej potrzeba?

— A o krzywdzie wyrządzonej mężowi zapomina pani? — zapytała Janka, śledząc uważnie twarz młodej kobiety.

— Ależ on nawet nie zauważył mojego odejścia i może w duchu życzył sobie tego! więc tu żadnej krzywdy nie było! Po cóż mieliśmy się dalej męczyć oboje. Gdyby były dzieci, byłabym dla nich może została i znosiła wszystko, ale tak! To byłoby tylko cierpienie bezcelowe, nic więcej!

I pani powinna zrobić to samo — szepnęła Jachimska, pochylając się nizko ku Jance — bo w takich męczarniach żyć przecież nie można. Znajdzie się może człowiek, z którym porozumie się pani, pokocha, a gdyby nawet samej być to lepiej niż tak, jak jest teraz.

Ciemny rumieniec pokrył twarz Janki. Odwróciła głowę, aby ukryć pomieszanie, ale w tej chwili drzwonek w przedpokoju zajęczał niecierpliwie i Jachimska nie czekając na jej odpowiedź, zerwała się spiesznie, wołając wesoło:

— To Stefan! zawsze go poznaję po sposobie dzwonienia.

Wkrótce po nadejściu Jachimskiego Janka pożegnała się i powróciła do swojego mieszkania. Nie mogła bez pewnego uczucia zazdrości patrzeć na szczęście tych dwojga ludzi tak zajętych sobą wyłącznie, że potrafili sobie stworzyć swój jakiś światek własny i odrębny, którego spokoju nic zamącić nie potrafiło. Oszołomiona i zmieszana rzuciła się w sypialnym pokoiku na łóżku, nie mając nawet ani siły, ani ochoty zapalić lampy i przygotować wieczorną herbatę.

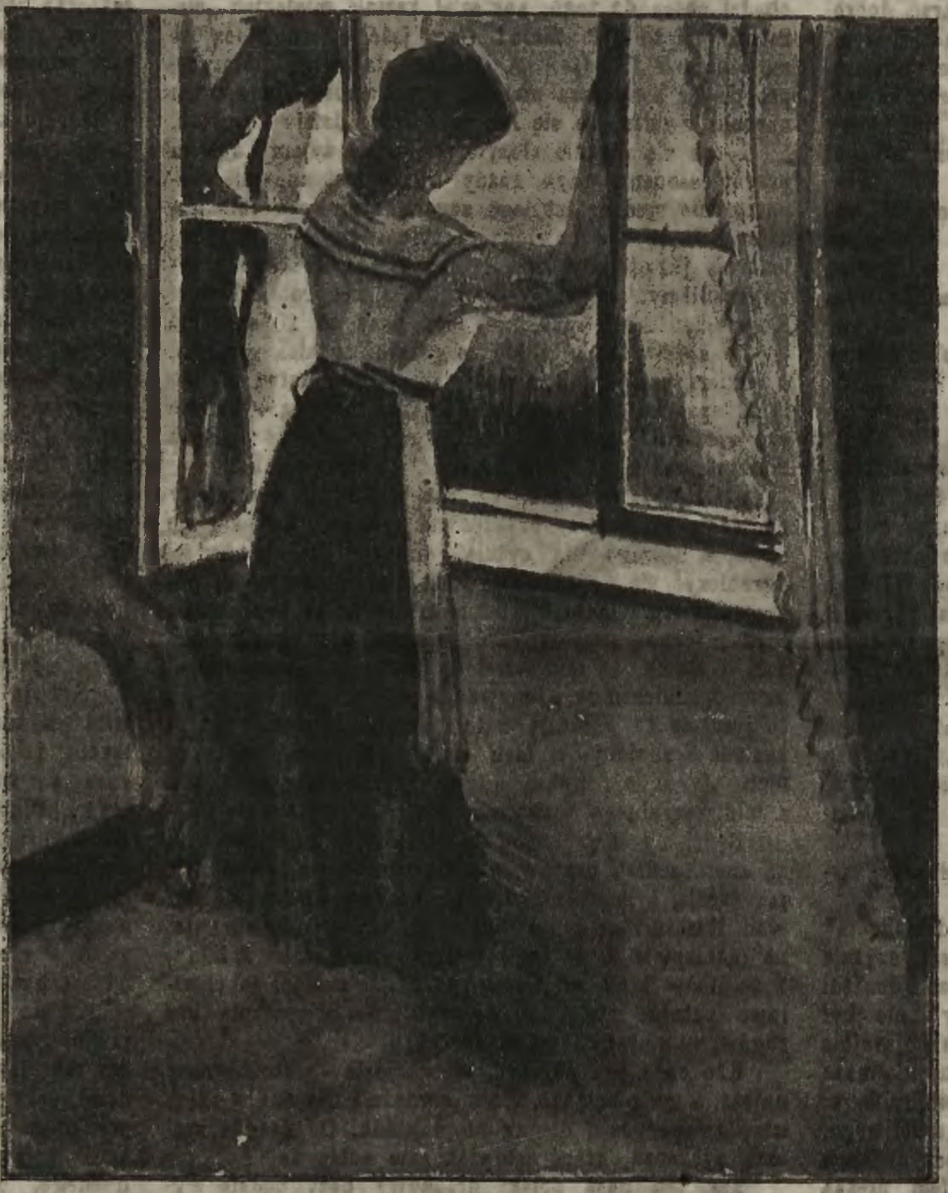
Męża jakzwykle spodziewała się dopiero gdzieś nad ranem. Leżała długo bez ruchu, rozpamiętywując całą swoją rozmowę z Jachimską. W głębi duszy czuła, że tamta miała słuszność i nie mogła potępiać jej odwagi i pogardliwego odroczenia się od opinii. Ale znowu głos rozsądku, tego filisterskiego rozsądku, z którym zżyła się w domu przez lat tyle kazał jej samej stać wytrwale po stronie twardych obowiązków, zabijając w niej myśl szaloną o osobistem szczęściu, niszcząc pojęcie o prawie wywalczenia sobie innego losu. Lecz kiedy po chwili bunt szeroką falą przeszedł po niej, budząc nieznane, ukryte w niej siły życia pozostawił ją złamaną, niezdecydowaną, bez możności podjęcia jakiegokolwiek ważnego postanowienia. Po jakimś czasie Janka zaniepokojona pogłębiającą się coraz więcej ciemnością pokoju i myślami, które coraz natarczywiej dokuczać jej zaczęły, wyskoczyła z łóżka i poszła okno otworzyć w nadziei, że widok świateł, błyszczących gdzieś daleko w mieście uspionem i prąd świeżego powietrza uspokoić potrafi jej umysł wzburzony.

Ale noc nadchodziła, coraz ciemniejsza i cichsza, bezlitosna w swojej ciszy, ze swoją bezwzględną surowością sądu i prawdą nielubiącą jasnych uśmiechów słońca i zapadała nad jej duszą całunem szarpiących myśli, a podmuch wiatru wiejący z daleka rozrzucał włosy nad jej czołem, nie mogąc jednak ochłodzić i przyciszyć nierównych gniewnych uderzeń krwi, bijącej żywą falą do skroni.

I już teraz, poza jej świadomością może toczyła się uparta i skryta walka pomiędzy pojęciem obowiązków, a tymi chwilowymi napływami buntu, uderzających w nią brutalnie i bezwzględnie; rozpacznie wołało w niej pragnienie szczęścia, lękliwie żaliły zabite nadzieje i marzenia dawne.

Niekiedy głos jakiś łagodny, ten głos, za którego wołaniem poszła niegdyś nie dbając o siebie, odzywał się jeszcze żywszą nutą i szeptał jej o radościach poświęcenia i jałmużny dawanej innym, ale głos ten Janka w sobie zagłuszyć chciała. Ta rezygnacya, uczyniona z siebie samej, stawała się już naiwną, graniczącą z jakiemś tchórzostwem wobec życia innego, do którego dążyło jej istotne pragnienie. A zresztą nie było już dla kogo się poświęcać w tym domu wrogim i obcym, który stał się tylko przymusowem więzieniem jej duszy i młodości.

Ale co ją czekało tam, na tym nieznanym brzegu nowego życia? Bo dotąd jeżeli myśli jej zbuntowane biegły samowolnie naprzód, to przyciągał je magnetycznie cel jakiś zdolny dać zapomnienie mąk przeżytych i więzów starganych. Wspomnienie Leszczyca jak dłoń droga i kojąca kładło się na zbolałej duszy, cucąc ją nową siłą i odwagą. Ale teraz? Janka o Leszczycu nie wiedziała nic zgoła. Z przerażeniem odsuwała od siebie przypuszczenie, że mógł o niej zapomnieć zupełnie, że ten pierwszy cudny, niedośniony sen młodych lat rozwiał się jak mgła przy ostrzejszym podmuchu nieprzychylnego wiatru. Bo w takim razie cóż ją czeka dalej? na czem oprze się w przemęczonej bezsilności swojej, co nadać może dalszy sens jej życiu i wytrwaniu?



— noc nadchodziła coraz ciemniejsza....

Nie miała Janka na tyle jeszcze hartu w sobie, aby módz iść dalej sama, nie oglądając się na nic i na nikogo, i uczciwie spełnić swoją powinność życia, nie pytając, jaka ją za to nagroda czekać może. Nie umiała żyć dla życia samego, podejmując wszystkie z niem walki i zatargi, chroniąc tylko osobistej wolności, jako największego bogactwa, opłacającego po królewsku przebyte trudy.

Mając do wyboru, albo dalsze pożycie z mężem, w warunkach nawet pogarszających się, albo życie samotne bez Leszczyca, nie wiedziała na co zdecydować się. Jej zwykła bierność i lęk przed nieznanem, usypiała w niej niekiedy nawet zmysł moralny, wyrabiając w nie odrębne jakieś odczucia etyczne, z których nie zdawała sobie sprawy.

Trzeba było dla jej duszy jakiegoś wielkiego i głębokiego wstrząśnienia, aby w tym stanie rzeczy zbudził się w niej samoistny odruch do tego życia, jakie wiodła obecnie i przejrzenia, że przez słabość swoją stacza się wraz z mężem do przepaści na dnie, której już tylko hańba czyhać może. Prawdą jest, że przyzwyczajenie stać się może drugą naturą człowieka. Jak mech szkodliwy obsiąść może korę młodego drzewa, wysysając z niego najżywotniejsze soki i sprowadzić uschnięcie przedwczesne, tak i duszę człowieka przyzwyczajenie otoczy powłoką niszczącą, niedopuszczając promieniowania jej na zewnątrz i przyjmowania ożywczych prądów, potrzebnych jej zupełnemu rozwinięciu.

Jeszcze lat parę podobnego życia, a Janka może przyjęłaby je już nie jako zło konieczne, ale jako zwykłą formę, do którejby się niewolniczo nagięła, nie widząc w niej trujących czynników dla siebie.

Tymczasem cisza coraz bardziej skupiona obejmowała miasto. Sen głęboki zapadał nad mieszkańcami, rzucając zapomnienie na wszystkie troski dnia, kryjąc i łzy i uśmiechy, rozpacze i zawody, łącząc w tem chwilowe oderwanie się od rzeczy zewnętrznych te wszystkie dusze targane za dużo siłą sprzecznych uczuć i pożądań. I to miasto z wysokiemi kopułami wieżyc, strzelających w rozgwiażdżone, pogodne niebo, to miasto wrzące w jasnych blaskach słońca piekłem gorączki użycia, zawiści nizkich i walk podstępnych, teraz w ukojonem objęciu snu dobroczynnego, wyglądało jak oaza, do której ściągnęli w znużeniu pielgrzymi dróg dalekich, szukając tu wytchnienia i ulgi dla swoich skołatanych istnień.

Świt szary, różowiący się już lekko ukrytymi blaskami zastał Jankę przy oknie wpatrzoną w bielejące zarysy gmachów i budowli, obnażonych z gęstych oparów nocnych.

Z chaosu umęczonych myśli wyjaśniało się teraz coraz wyraźniej niepokojące wspomnienie Leszczyca, niweczące każdy odruch jej woli, naginającej się do powzięcia jakiegoś określonego postanowienia.

Bo na cóż zdałoby się to wszystko jeżeli on zapomniał? Przez czas jakiś podtrzymywał ją siłą swej energii i przywiązania, łudząc bezwiednie nagrodę innego życia a teraz, w chwili kiedy może najgorzej rwała się ku niemu, instynktownie wyczuwając w nim jedyny ratunek przed własną biernością i rozbiernem pojęciem o obowiązkach życia — on pozostawiał ją samą, bezwładną jak małe dziecko — nie dając znaku czy ma iść, czy też pozostać w miejscu i czekać na łaskawą współpomoc czasu, pozostawiającego niezatarty swój ślad na wszystkiem.

A najstraszniejszą dla Janki była myśl, że Leszczyc przecież kiedyś ożenić się może i ona wówczas już bezwzględnie pozbawioną zostanie ostatniej nadziei; podtrzymującej jej siły. Widziała wybraną przez niego kobietę szczęśliwą i spokojną przy jego boku, podczas kiedy ona zmalała i przyrzekła wlec dalej za sobą szary ciężar dni beznadziejnych przedwczesnym pyłem starości, przytłaczając jej młodość nieprzeżytą jeszcze.

A więc nigdy nie nadejdzie dla niej radosne żniwo prawdziwej miłości i szczęścia. Nigdy nie zaświeci się do niej w całej pełni ten świat czarów upojonych, blaskami beztroskich uśmiechów rozrzutny?.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Zebranie żołnierzy w dniu Bożeg Narodzenia. **Gospoda żołnierska w Krakowie:** Czytelnia.

Gospoda żołnierska w Krakowie.

Dzięki amerykańskiemu „Związkowi młodzieży chrześcijańskiej“ (Y. M. C A) którego przedstawiciele przybyli do Polski, aby nieść oświatę i moralność wśród żołnierzy, powstała i w Krakowie, w dawnym arsenale polskim, przy ulicy Grodzkiej „Gospoda żołnierska“.

Żołnierz polski garnie się do tej gospody z zadowoleniem, gdyż w godzinach wolnych od zajęć spędza tam chwile na czytaniu gazet, zabawach towarzyskich, oraz przysłuchuje się odczytom i koncertom, urządzanym nader często przez Związek. Prócz strawy duchowej, otrzymuje żołnierz w gospodzie pożywienie za przystępną cenę. W gospodzie znajduje się także wypożyczalnia książek, to też chętnie korzystają z nich nasi chłopcy. Nastrój w gospodzie jest nader serdeczny i miły, dzięki umiejętnemu postępowaniu jej gospodarzy. Potrafili oni wciągnąć do gospody całe szeregi żołnierzy i odwrócić ich uwagę od zgubnych zabaw w mieście. Codziennie w obszernej hali gospody zbierają się niezliczone tłumy żołnierzy garnizonu krakowskiego i mile spędzają czas na pogadance, grze w szachy, oraz na śpiewie.

W święta Bożego Narodzenia Związek młodzieży chrześcijańskiej gościł około 3800 żołnierzy, którzy zachowali w miłej pamięci spędzoną tradycyjną uroczystość polską, spędzoną zdala od rodzin.

Związek działa także i na zewnątrz, rozsyłając książki szpitalom, oraz gazety. Dzielnym i poświęcającym się żołnierzowi polskiemu Amerykanom należy się cześć!

Y. M. C. A. zostało założone około 70 lat temu w Anglii i stamtąd rozszerzyło się na Kanadę i Stany Zjednoczone, dziś zaś obejmuje cały świat.

We wszystkich większych i wielu małych miastach Ameryki znajdują się dziś budynki Y. M. C. A., zaopatrzone w czytelnie i sale odczytowe, sale gimnastyczne, łaźnie, kręgielnie, sale bilardowe, sypialnie i bufety. Młodzi ludzie mogą tu spędzać swój wolny czas w atmosferze zdrowej, przypominającej dom rodzinny.

Z chwilą przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, władze wojskowe wezwały Y. M. C. A. do zajęcia się dostarczaniem godziwej rozrywki żołnierzom armii amerykańskiej. Nieco później na skutek otrzymanych wezwań rozszerzyło to Stowarzyszenie swe pole działania na wszystkie armie sprzymierzone. Przeszło 7000 sekretarzy służyło żołnierzom koalicyi. Kantyny Y. M. C. A. i ogniska dla żołnierzy można było znaleźć prawie w każdym obozie, zaś „Schroniska“ Y. M. C. A. znajdowały się nawet w okopach, w pobliżu linii bojowej.

Polski oddział Y. M. C. A. jest odłamem międzynarodowej organizacyi, fundusze zaś na zapoczątkowanie składają się z dobrowolnych ofiar obywateli amerykańskich.

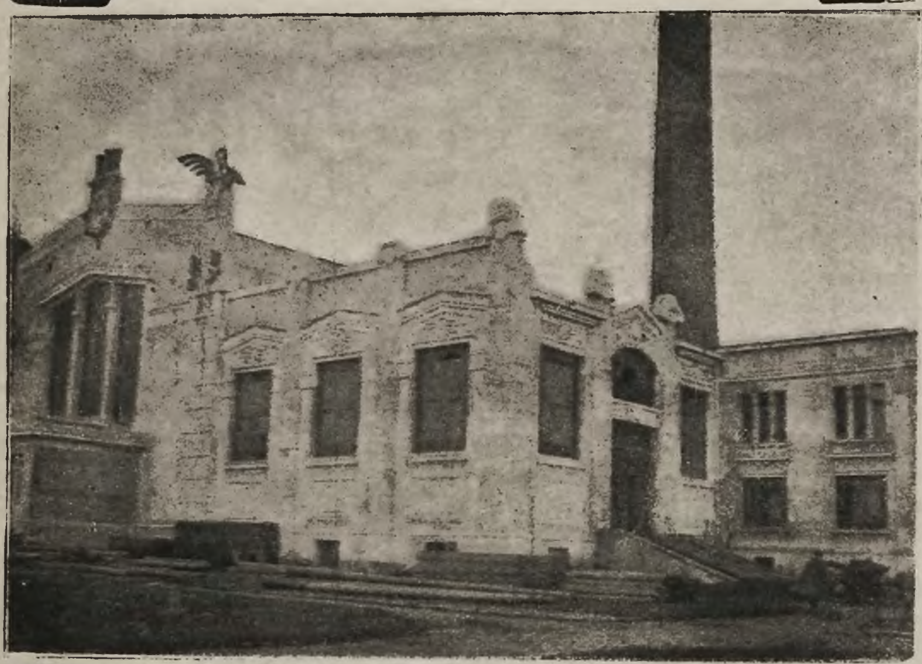


Gospoda żołnierska w Krakowie: 1) kap. Obe holser Di , Secz. okręgu krak. 2) kap. dr. Price zastęp a 3) kap. Ely Secz. okręgu krak. 4) kap. Bene ikt, za ządca „Ognis a żołnierza polskiego“. 5) kap. Hammond, sportowy dyrektor 6) sierżant Rogociński, prowadzący „Ognisko“.

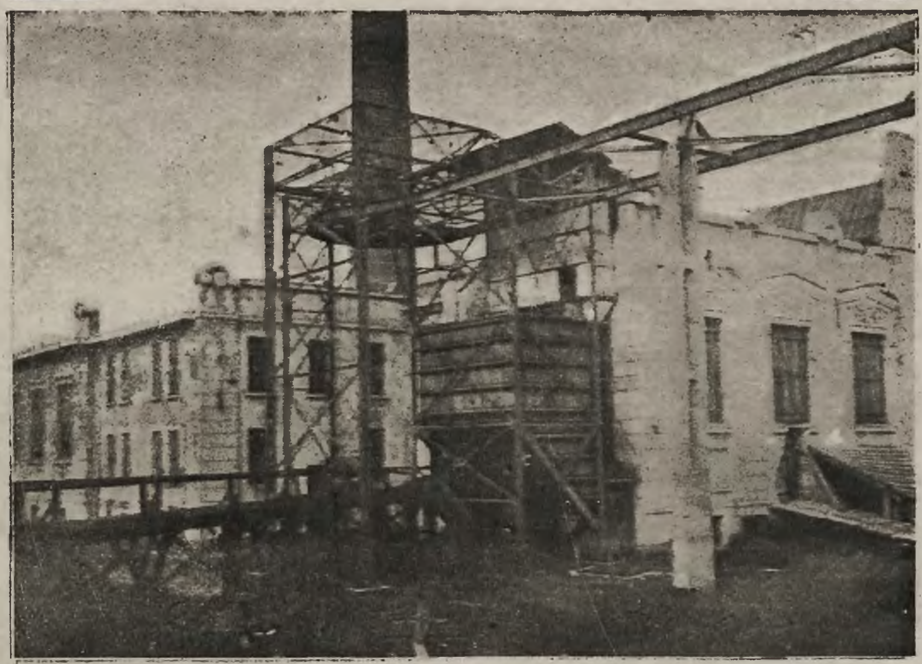




Piramidy. **Gospoda żołnierska w Krakowie:** Zabawy amerykańskie.



Elektrownia miejska od strony podwórza.



Gmach elektrowni.

Dwudziestopięcioletni jubileusz elektrowni miejskiej we Lwowie: (Fot. M. Münz, Lwów.)

Dwudziestopięcioletni jubileusz elektrowni miejskiej we Lwowie.

Przed kilkoma dniami obchodzono we Lwowie dwudziestopięcioletni jubileusz miejskiej elektrowni.



Morderstwo w Krakowie: Andrzej Meus, główny sprawca napadu.

Elektrownia lwowska może dziś pochlubić się swoją pracą za którą należy się jej wdzięczność właśnie w tym dniu jubileuszu. Okres inwazyi ukraińskiej był dowodem wytrwałości i samozaparcia się jej pracowników, którzy na każdym kroku musieli walczyć z niepokonalnemi wprost trudnościami. Starano się o ile sił starczyło pracą pełną niebezpieczeństw walczyć dla dobra ukochanego miasta. Wszystkie te myśli mimowolnie nasuwają się w tym dniu rzadkiego jubileuszu.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem, poczem przemówił kierownik elektrowni, wskazując na ofiarną rolę lwowskiej elektrowni i na gorące wysiłki, aby swój obowiązek spełnić do najmniejszych szczegółów. Uroczystość ta, zostawiająca miłe wspomnienia, była rzadkim wypadkiem dla ludzi, którzy pracę umieją zrozumieć.



Morderstwo w Krakowie: Jeden z uczestników napadu Wł. Lalik, który zbiegł z Wiśnicza dzień przed napadem. Lalik fotografowany z towarzyszką niedoli.



Morderstwo w Krakowie: Ofiara zbrodni J. Grünfeld.

Morderstwo w Krakowie.

Przed kilkoma dniami dokonano w Krakowie morderstwa rabunkowego na osobie J. Grünfelda. Wyśledzenie sprawców zbrodni napotykało na znaczne trudności, ponieważ opierało się tylko na rysopisie jednego ze zbrodniarzy, podanym przez dra Keplera, do którego zraniony przypadkowo podczas napadu bandyta udał się o pomoc lekarską. Na podstawie tych informacyi bandyta niejaki Andrzej Meus został ujęty. Meus zeznał, że w krytycznym dniu po „libacyi“ sutej w szynku Lorii przy ulicy Dajwór z niejakim Władysławem Salikiem, Oziembłowskim i jeszcze kilkoma bandytami udał się do mieszkania wekslarza Grünfelda. Kiedy weszli bandyci krzyknęli: „Ręce do góry“ i dali kilka strzałów w stronę siedzących osób; z których jedna kula odbiła się od stołu i zraniła Meusa. Grünfeld otrzymawszy cztery kule zginął. Następnie bandyci podzielili się łupem, wynoszącym około 3500 koron. Sprawców morderstwa już ujęto. Śledztwo, które prowadzi st. kom. Gebhardt i ofic. Kantor jest jeszcze w pełnym toku.



Morderstwo w Krakowie: Paweł Oziembłowski, recte Onimichowski, zdeklarowany bandyta, skazany na 20 lat więzienia, zbiegł z Wiśnicza.

Robert Hichens.

BERBERYJSKIE KOZY.

(Tłumaczenie z angielskiego).

2

— Odpowiem ci za chwilę, Crumpet, kiedy, och!

Wydała lekki okrzyk i stała cicho, ściskając męża za ramię. Doszli byli do pustyni i mieli przed sobą zachód słońca. Nagle świat się zmienił. Jarząca gra barw raziła ich oczy. Rzeka, płynąca teraz spokojnie, gubiła się daleko w oazie wspaniałych drzew palmowych, rosnących wśród niezmiernej pustyni blado-żółtego piasku, na którym migotały rozrzucone kryształy. Na lewo ciągnął się łańcuch gór ciemnofioletowych na różowym horyzoncie, a z roz rzuconych pomiędzy palmami brunatnych chat arabów dochodziły krzyki dzieci, szczekanie psów, i przygłuszone dźwięki arabskich bębnów i piszczałek.

— Oh, Crumpet — rzekła Lady Wyverne po chwili milczenia — jakie to dziwne i jak, jak...

Westchnęła. Oczy jej zaszły łzami.

— Wielbłądy! Wielbłądy! — zawołała — Patrz, Crumpet.

Karawana wychyliła się z wąwozu, rząd objuczonych wielbłądów i bosych, brunatnych ludzi w powiewających łachmanach.

— Bardzo malownicze — przyznał sir Claude — Ubić jaką kozę.

— Tak, tak, wiem.

— Dobrze, ach, jak...

— Mówię ci, że wiem. Zabawimy tutaj dwie doby. Idź jutro o trzeciej i zabij co chcesz. Pozwól mi tylko zwiedzić te wioski i przejść się pod temi palmami.

— Nie możesz iść tam sama.

— Wezmę przewodnika.

— Poszukam, czy się znajdzie jakiś odpowiedni — mruknął sir Claude — Ten przewodnik chodzi zawsze z mężczyznami. Wiesz co Kitty, zaczynam być bardzo głodny.

— Ty żarłoku — rzekła Lady Wyverne wzruszając ramionami. Lecz odwróciła się i zaczęli wracać do hotelu, który już był pogrążony w cieniach szybko zapadającej nocy.

W sali jadalnej zastali jednego tylko gościa, był nim młody, bardzo przystojny Arab, o którym kelner im powiedział, że jest oficerem spahisów, stojących w Algierze, że otrzymał urlop i jedzie teraz do swego ojca, możnego Kaida w okręgu Zibans. Lady Wyverne przyglądała mu się z zajęciem. Miał na sobie śnieżny turban i czerwony kaftan, pomiędzy tą bielą i czerwienią jego podłużne, czarne oczy błyszczały zuchwale, a białe zęby połyskiwały w uśmiechu kiedy się zwracał do usługującego kelnera, mówiąc doskonałą francusczyzną. Twarz miał nadzwyczaj wyrazistą, z odcieniem okrucieństwa i dziwnie inteligentną.

Przez cały czas obiadu sir Claude mówił o berberyjskich kozach, a kiedy skończyli jeść, rzekł:

— Wiesz co, Kitty, chodźmy już do siebie.

— Do siebie! Po co? Dopiero ósma!

— Tak, ale musisz być bardzo znużona po tym wypadku i...

— Masz na myśli, że jesteś śpiący i że masz zamiar wstać o trzeciej dla jakichś kóz. Idź do łóżka, Crumpet, ale ja pozostanę na werandzie i będę patrzała na księżyc.

Sir Claude rzucił senne spojrzenie na spahisa, który w tej chwili właśnie wziął orzech ze stojącego kosza z owocami i trzymał go delikatnie w swych cienkich, prawie kobiecych palcach. Młody oficer wyglądał bardzo niewinnie.

— Dobrze, Kitty, pójdę. Widzisz, jeżeli nie będę wyspany jutro, to..

— Spudłujesz do kozy i trafisz w przewodnika. Idź już!

Sir Claude zwrócił się do wyjścia. Lekki trzask dał się słyszeć. Spojrzał wkoło. Spahis zdusił orzech w palcach i spokojnie się uśmiechał, wyjmując starannie ziarnko.

— Nie wiem zresztą, czy zaraz się położę — zaczął sir Claude — może lepiej wypalę jeszcze.

— Nie, nie, poduszka ciebie ciągnie, widzę to, Crumpet. Chodźmy.

I wyszła z pokoju wraz z mężem. Spahis rzucił za nimi spojrzenie, wstał, zapalił papierosa i wyszedł na brukowany dziedziniec, nad którym wznosiła się weranda. Oparł się o słup i stał nieruchomy, patrząc na stojące rzędem drzewa i biały gościniec, prowadzący daleko w pustynię.

III.

Sir Claude poszedł naturalnie spać. Czynił zawsze to, co mu żona kazała. Lady Wyverne starannie go okryła, a usłyszawszy wkrótce dobrze sobie znane chrapanie, wyszła na werandę, pod którą stał młody spahis. Usłyszał szelest jej sukni wśród nocnej ciszy i uśmiechnął się. Gwiazdy jaśniały na niebie, a wstęga drogi prowadzącej przez wąwóz, bielała oświecona księżycem. W hotelu gospodyni z rodziną i służbą siedzieli przy wieczerzy. Na dworze nie było nikogo. Po chwili spahis opuścił słup, przy którym stał, podszedł do ogrodzenia pod drzewami, które oddzielało dziedziniec od drogi i oparł się o nie, zwrócony w stronę werandy, lecz nie podniósł oczu na młodą kobietę. Zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie. Lady Wyverne przypatrywała mu się z ciekawością. Jego szeroki, biały turban przy księżycowem świetle wyglądał widmowo. Dlaczego stał tam bez ruchu? O czem mógł myśleć? Obecność jego drażniła ją i tembardziej czuła się zmieszaną w tej miejscowości tak niepodobnej do miejsc, które kiedykolwiek widziała. Motylkowaty jej umysł został uwięziony przez tę afrykańską pustkę, na granicy pustki jeszcze większej, rozległej, nieznanej pustyni, w której ten człowiek urodził się, wychował i do której wracał. Uczucie jakby lęku zakradło się do jej duszy i zaczęła marzyć. Jak kobieta oddaje się marzeniu, niema granic dla jej wyobraźni. Lady Wyverne oddaliła się daleko od rzeczywistości, kiedy dziwny dźwięk zwrócił jej uwagę. Ktoś śpiewał, a raczej nucił dziwną melodyę żałosnym, prawie dziecinnym głosem. Kto to mógł być? Nie widziała nikogo oprócz młodego oficera i nie przyszło jej nawet na myśl, że ten głos mógł wychodzić z ust mężczyzny. Słuchała oparta o balustradę. Śpiew nie ustawał i wydało się jej, że się zjednoczył z nocą, że się stał głosem nocy. Melodya nie była piękną, słuchała jej z zajęciem, gdyż nigdy jeszcze nie słyszała nic podobnego. Stopniowo śpiew ten zaczął ją drażnić prawie boleśnie, denerwował ją, niepokoił. Kto był tym śpiewakiem? Starała się umiejscowić dźwięki i zdawało się jej, że pochodzą z miejsca, na którem stał spahis. Zdjęła rękę z balustrady. Czy to rzeczywiście on śpiewał? Czy to była serenada? Uśmiechnęła się; obudziła się jej próżność.

Kiedy się poruszyła, spahis ruszył się także. Przeszedł zwolna przez dziedziniec, podniósł głowę i ukazał Lady Wyverne swą śniadą twarz i otwarte usta. A więc on był tym śpiewakiem i zuchwale zwracał ten śpiew do niej.

Od czasu swego pojawienia się w „świecie“ Lady Wyverne była przyzwyczajoną do hołdów, którymi wykwintni młodzi ludzie obdarzają piękne kobiety. Lecz ta dziwna, afrykańska, żałosna serenada była czemś zupełnie nowem. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, uśmiechnęła się do spahisa. Przestał śpiewać i odpowiedział jej uśmiechem, poczem zaczął mówić, jak gdyby to było najnaturalniejszą rzeczą w świecie.

— Czy madame widziała kiedykolwiek pustynię przy świetle księżyca?

Lady Wyverne drgnęła i cofnęła się. Doprawdy, to było za wiele.

— Madame schodzi na dół? — zapytał spahis z chłopięcą naiwnością.

— Nie.

— To szkoda. Pięć minut drogi i madame mogłaby widzieć pustynię w księżycowem świetle. Niema się czego obawiać.

Spuścił rękę i natychmiast ją podniósł. Lady Wyverne ujrzała stal rewolweru błyszczącą w blasku księżyca.

— Nie obawiam się — rzekła.

Mówiła z pełną samowiedzą. Kaprys, któremu zawsze się dawała powodować, szeptał: „To nowa zabawa! Nie bądź tak niedorzeczną, żeby jej unikać“.

— Ale madame nie pragnie widzieć pustyni?

W tej chwili zauważył, że błękitne jej oczy patrzyły na coś poza nim. Odwrócił głowę i zobaczył rząd wielbłądów i arabów, zdążających drogą wiodącą na pustynię.

Piasek głuszył stąpanie wielbłądów, zakapturzeni arabowie, w powiewnych szatach, przesuwali się jak widma, ukazując się, to znów znikając w cieniach wąwozu. Widok ten wzniecił w Lady Wyverne uczucie romantycznej tajemniczości i pragnienie podążenia za tymi ludźmi w srebrzystą krainę rozciągającą się po za skałami.

Na palcach przeszła przez werandę i zajrzała do pokoju męża. Chrapał zapamiętale.

— Śni mu się o berberyjskich kozach — szepnęła — Gdyby tylko Crumpet był trochę więcej... hm.

Westchnęła, wzięła płaszcz i cicho zeszła ze schodów.

Spahis spotkał ją na dziedzińcu. Zuchwałość znikła z jego twarzy i skłonił się jej z ceremonialną powagą, która zadziwiła lady Wyverne nie przyzwyczajoną do szybkiej zmiany w sposobie obycia, tak częstej u ludzi Wschodu.

— Czy monsieur nie zejdzie? — zapytał z prostotą.

— Monsieur!

Lady Wyverne spojrzała ze zdumieniem w jego wielkie, ciemne oczy.

— Monsieur spi — dodała, przychodząc do siebie.

— Tak wcześnie!

Nie było cienia sarkazmu w jego głosie.

— Idzie jutro o trzeciej polować na berberyjskie kozy — rzekła trochę szorstko.

Spahis patrzał uważnie na jej ładną, jasną twarzyczkę.

— Berberyjskie kozy! Berberyjskie kozy! — powtórzył jakby z politowaniem.

— Czy mogę pomóc madame nałożyć płaszcz? — dodał po chwili.

— Ja nie, nie wychodzę — rzekła.

— A płaszcz? — rzekł poważnie.

Wziął go i szybko, z wdziękiem i niezwykłą zręcznością pomógł jej go nałożyć.

— Chodźmy, madame!

— Ale...

Otworzył bramę.

— To kwestya pięciu minut. Za kwadrans będziemy z powrotem i madame będzie widziała, ach, coś cudownego, coś cudowniejszego niż kiedykolwiek widziała w Anglii.

Trzymał bramę otwartą. Lady Wyverne wyszła na drogę.

— — — — — — — — — — — — —

O trzeciej rano, kiedy gwiazdy jeszcze świeciły, Lady Wyverne słyszała jak jej mąż krzątał się po swym pokoju, następnie podszedł do jej drzwi, ostrożnie je otworzył i wszedł ze świecą w ręku. Leżała spokojnie z zamkniętemi oczami, zamknął drzwi i usłyszała jak zbiegał ze schodów. Odezwały się przytłumione głosy na dziedzińcu i tupot mułów. Pojechał. Westchnęła. Zapytywała się samej siebie, dlaczego udawała, że spi, lecz nie starała się odpowiedzieć na to pytanie.

— Mam nadzieję, że będzie miał dobre polowanie — myślała.

I zasnęła rzeczywiście.

Po południu, około piątej, sir Claude podjechał do bramy hotelu w doskonałym humorze. Za nim, przewieszona przez muła, leżała ubita zwierzyna.

— To dopiero polowanie! — zawołał do żony, siedzącej na werandzie — Czekałam kilka godzin i mówię ci, Kitty, czy nie zanudziłaś się tutaj na śmierć?

— Nie, Crumpet.

— Ładna miejscowość, prawda? Radbym spędzić tutaj tydzień!

— I owszem — rzekła.

— Chciałabyś? — zawołał.

— Chcę tego, czego ty chcesz.

— Jesteś kochanem stworzeniem, Kitty. Widzisz, są i gazelle w dolinie i...

— Dobrze, dobrze!

Wbiegł na schody, żeby ją pocałować.

— Biedny, stary Crumpet — pomyślała. Miała wrażenie, że ma przed sobą chłopczyka.

Przy obiedzie byli sami.

— Spahis wyjechał? — zapytał sir Claude, rzucając wkoło obojętne, senne spojrzenie.

— Nie zdaje mi się. Widziałam go w dzień. Może poszedł do pobliskiej wioski i zajada „kus-kus“ z przyjaciółmi.

— Co takiego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył J. Opolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko ukraińskiego polityka.

— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— ■ — —

Znaczenie wyrazów: 1) Roślina ogrodowa, służąca za przyprawę. 2) Znany minerał. 3) Złośliwy bożek grecki. 4) Imię męskie. 5) Choroba zakaźna. 6) Polski pamiętnikarz. 7) Pseudonim współczesnego polskiego literata. 8) Wyspa na morzu Sródziemnem. 9) służący konsularny. 10) Szczyt w Tatrach. 11) Przezwisko Moskala 12) Obrona niektórych zwierząt.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył K. Grzybowski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą tytuł dzieła K. Szajnochy.

— ola
— dam
— ola
— aga
— ran
— dal
— ama
— gat
— óra
— gła
— mil
— ada
— owy
— pal.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył M. M., Lwów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - a - - a - - ę - u - - ie - i - ą.
2) - e - - a - a,- ó - - ia - a.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) G. Leroux „Tajemnica żółtego pokoju" (powieść) 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 3

Trójkąt magiczny. Skulski, Kalisz, ukrop, Lena, Sas, ku, i.
Zadanie na rozsypane litery. Lepszy rydz, jak nic.
Kwadrat magiczny. Okno, Kain, nity, onyx.
Zadanie do uzupełnienia. Obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo.
Okienko. Pasek, Sedan, konar.
Grzebieniówka. Dora, A, noga, n, Ural, n, zeta, i, ogar.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Królikowska Warszawa, J. Zabłocki Kraków, M. Osadziński Lwów, S. Sokołowski Rzeszów, D. Rosenbaum Kraków, M. Agat Lwów, S. Haniewicz Kraków, K. Dębiński Jasło, J. Jaworski Lwów, S. Kamiński Zakopane, J. Rogosz Wadowice, S. Bielawski Tarnów, B. Popiel Kraków, J. Nowacki Lwów, H. Kwaśniewski Przemyśl, H. Bandrowska Warszawa, L. Kołodziejski Częstochowa, S. Raczyński Rozwadów, H. Obst Lwów, K. Lipski Kraków, M. Danirowska Kalisz, R. Kowalski Warszawa, F. Tokarski Wilno, J. Sabiński Lwów, M. Kohn Kraków, W. Lange Warszawa, R. Zawadzki Jasło, H. Kamocka Nowy Sącz, L. Rogoziński Tarnopol, M. Dworzańska Stanisławów, E. Balicki Kraków, S. Mróz Lwów, M. Kalinowska Warszawa, J. Antosz Kraków, M. Zak Rzeszów, W. Leszczyński Nisko, J. Grabowski Tomaszów, F. Jamiński Tarnów, M. Halpern Stanisławów, K. Kisielewski Zamość, J. Jaśkiewicz Kraków, C. Kozłowski Chrzanów, F. Broczkowski Ruda Brodzka, U. Kokoszyńska Przemyśl, Z. Franczak Cieszyn.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) S. Raczyński Rozwadów (książka). 2) J. Rogosz Wadowice (papier listowy) Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.





Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarządem Stefana Karczmarskiego.